

# Gumplowicz, Ludwik

---

## Historia a socjologia

---

Przegląd Historyczny 1/1, 6-23

---

1905

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

## HISTORIA a SOCYOLOGIA.

---

Nie schodzi z porządku dziennego naukowych dyskusji w Niemczech „naukowość dziejopisarstwa”. Stara to kwestya.

Kiedy się już nie zadawalniano na wzór teologów (np. *Bos-sueta*), podziwianiem w dziejach czynów Opatrzności, zaczęto szukać sensu dziejów. *Volter*, choć sam dzieła historyczne pisał, odmawiał dziejom wszelkiego sensu. Inni encyklopedyści (*Condorcet*, *d'Alembert*) bronili wartości dziejopisarstwa, jako przedstawienia „postępu i rozwoju ducha ludzkiego”.

W Niemczech, *Herder* wykazał praktycznie w dziele „*Ideen zur Geschichte der Menschheit*”—że dzieje można pojmować inaczej, aniżeli tylko jako zbiór życiorysów monarchów i mężów stanu. Pod wpływem jego pomysłów powstała w Niemczech w pierwszej połowie ubiegłego stulecia „Historja Kultury”, jako osobna gałąź dziejopisarstwa.

Równocześnie *Schopenhauer* odmówił dziejopisarstwu politycznemu charakteru naukowego i pierwszy w Niemczech podniósł kwestyę, ażali opowiadanie dziejów jest nauką? — czy raczej nie poezją? Coraz więcej szerzyła się opinia, że historia powinna się właściwie zajmować ludem a nie panującymi; powinna przedstawiać rozwój kultury, a nie przebieg wojen i bitew. Zjawił się *Buckle* i silnie poparł tę opinię. Na domiar, przyrodoznawstwo zaimponowało światu i postawiło tezę, że wszelka nauka powinna wykazywać prawa rozwoju zjawisk. Opowiadanie dziejów bez wykazywania praw niemi rządzących, według *Haeckla* nie jest nauką. A zatem historia powinna, na wzór nauk przyrodniczych, wykazywać nam prawa rozwoju dziejowego. Jęła się wprawdzie tego „Filozofia historyi”, zacząwszy od *Hegla*, ale żadnemu z filozofów historyi nie udało się wykazanie praw ścisłych, któreby zyskały ogólne uznanie tak, jak prawa fizykalne, lub bio-

logiczne. Darzyła nas ta filozofia historii coraz to nowemi konstrukcjami „historyzoficznymi”, które trąciły subiektywizmem i nacjonalizmem. Był czas w drugiej połowie ubiegłego stulecia, w którym ta „filozofia historii” najzupełniej była zdyskredytowana. Ale w ostatnich dwóch dziesięcioleciach znowu się dźwignęła — głównie pod wpływem socjologii, etnologii i prahistorji. Czem więcęj bowiem nauki te przysparzały materiału ludoznawczego, obok ogromnego, wzrastającego ciągle, materiału czysto historycznego, — tem więcęj dawała się uczuć potrzeba zdania sobie sprawy z tego ogromu faktów, zjawisk i dziejów. I socjalizm przyczynił się nie mało do rozwoju tych „idei historycznych”. Wspomnę tylko o słynnym „materiaлистycznym pojmowaniu dziejów” *Marksa* i *Engelsa*.

Jako dowód do jakiego stopnia wzrosła literatura historyzoficzna, może służyć świeżo ogłoszona książka *Goldfriedricha*: Die historische Ideenlehre in Deutschland (1902). Już bowiem dla zorientowania się w wielkiej liczbie „systematów” historyzoficznych zachodzi potrzeba specjalnych „historji idei historycznych”. Nie obeszło się też bez zażartych walk, zarówno między przyrodnikami a historykami, jako też między historykami kultury, a historykami politycznymi.

Z przyrodników w siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia słynny *Dubois-Reymond* podniósł jednostronny zarzut przeciwko historykom, że zaniedbują przyrodoznawstwo, którego rozwój stanowi właściwą treść dziejów ludzkich, a przynajmniej jedyną — godną przedstawienia historycznego<sup>1)</sup>. Z drugiej strony „historycy kultury” sobie tylko przypisywali „naukowość”, odmawiając jej historykom politycznym. Spierano się po kongresach historycznych o „właściwy przedmiot dziejopisarstwa”. Na kongresie historyków niemieckich w Innsbrucku (r. 1896) profesor *Scala* referował „o indywidualizmie i socjalizmie w dziejopisarstwie”. Wyrazami temi oznacza on dwa przeciwne obozy historyków, z których jeden kładzie nacisk na indywiduala — osobistości historyczne (które robią historję) a drugi — na lud, społeczeństwo, stan społeczny i życie zbiorowe społeczeństwa. Scharakteryzował on te dwa obozy, jak następuje: „Indywidualista wierzy w wolną wolę i widzi w dziejach wytwór osobistych wpływów, socjalista zaś widzi wszędzie tylko konieczność, żelazne prawo natury, a w dziejach — proces naturalny”. Nad referatem *Scali*, który proponował pogodzenie obu kierunków w dziejopisarstwie, toczyła się żywa

---

<sup>1)</sup> O sporach tych pisałem w dziełku „Soziologie und Politik.” Lipsk, 1892.

dyskusya, w której brali udział *Gothein*, *Ludo M. Hartmann*, *Meinecke*, *Schmoller*, *Stieve* i inni.

Gothein występował przeciwko przeważającej w dziejopisarstwie stronie gospodarczo-społecznej, a za podniesieniem i d e i; tylko w przedstawieniu i d e i, według niego, leży wartość dziejopisarstwa. *Schmoller* żądał aby dziejopis dał wyraz jakiemuś światopoglądowi. W przedstawieniu światopoglądu widzi on wartość dziejopisarstwa. Młody wtedy docent *L. M. Hartmann* drwił sobie z tych „idei”, i „światopoglądu” które nie są niczem r e a l n e m, jeno mrzonkami subiektywnymi. *Stieve* zakwestyonował wprost n a u k o w o ś ć dziejopisarstwa, do którego nie powinno ono aspirować, będąc raczej sztuką<sup>1)</sup>.

Równocześnie toczyła się w czasopismach i w ulotnych publikacjach polemika między *Rachfahlem* i *Lamprechtem* z powodu dzieła Lamprechta „*Deutsche Geschichte*”, które zaczęło wychodzić w r. 1891, a do dziś dnia jeszcze nie jest skończone (wyszło 7 tomów). *Rachfahl* w „*Preussische Jahrbücher*” (tom 83) zarzucał Lamprechtowi fantazyjność i dowolność w konstrukcjach historycznych Lamprecht nie przeczył temu, ale twierdził, że „dziejopisarstwo tworzy mity tak samo, jak fantazyja ludu, tworząca podania i baśnie”<sup>2)</sup>. Zaiste! jest to dziwne twierdzenie,—dla Lamprechta jednak jak zobaczymy, znamienne. Zresztą Lamprecht ma poniekąd rację, jeżeli się ma na oku kronikarzy średniowiecznych i historyków, np. u nas takiego Kadłubka, lub nawet Długosza. Co więcej, Lamprecht w tej samej broszurze na poparcie swego zdania powiada, że motywów osobistych działania historyk nigdy poznać nie może, a zatem skazany jest na domysły, tak, że „dziejopisarstwo zawsze trąci romanssem”. Ale ta obrona dziejopisarstwa przez Lamprechta usprawiedliwiłaby odsądzenie dziejopisarstwa od „naukowości”. Nie dziw więc, że historycy młodszy nie zadowolnili się obroną taką i szukali natomiast dróg i sposobów wywalczenia dla dziejopisarstwa cech prawdziwej „naukowości”.

Ponieważ pojęcie to, wylęgte na gruncie przyrodoznawstwa, zasada się na możliwości wykazywania prawidłowości zjawisk, więc usiłowania młodszych historyków zwróciły się w tę stronę. Odkrycie „prawa historyczne” stało się odtąd hasłem i celem tych młodszych, a nawet samego Lamprechta, który przecież tylekrotnie powtarzał

<sup>1)</sup> Sprawozdanie z tego kongresu wyszło w Lipsku 1897. Referat Scali ogłoszono w czasopiśmie „*Das Leben*”, zeszyt I. z r. 1897.

<sup>2)</sup> *Alte und neue Richtungen in der Geschichtswissenschaft*. Berlin, 1896, str. 15.

i dziś powtarza jeszcze, że dziejopisarstwo jest artystem, a historyk powinien być artystą („Künstler“—oczywiście w znaczeniu poety).

I oto mamy przed sobą trzy publikacje nowe historyków, zajmujące się tą kwestyą: *Breysiga*<sup>1)</sup>, *Lamprechta*<sup>2)</sup> i *Hartmanna*<sup>3)</sup>.

Breysig odwołuje się do rezultatów historii kultury i do socjologii, które wykazały prawidłowość rozwoju instytucji społecznych jak np. rodziny, małżeństwa, własności i t. d. Na zasadzie tej prawidłowości dzieli on historię narodów na stopnie rozwoju, odpowiadające rozwojowi tych instytucji społecznych. Każdy naród zatem, według niego, przebywa swoją starożytność, swoje wieki średnie i nowożytne. Wedle stopnia rozwoju tych instytucji u pojedynczych narodów orzec możemy (według Breysiga) na jakim stopniu kultury znajduje się dany naród.

Pomysł ten nie jest oryginalny, bo to już *Morgan* w swoim „Praspołeczeństwie“ dzieli rozwój całej ludzkości na podobne stopnie, mianowicie: dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi. Korzystał zaś z takiego podziału i *Albert Wirth*<sup>4)</sup>, który „narodowościom“, t. j. amalgamatom różnych ras, osiadłym na danem terytorium i mówiącym jednym językiem, przypisuje także rozwój prawidłowy poprzez wieki: starożytne, średnie i nowe. Przywłaszczając sobie ten pomysł, Breysig ustanawia aż „24 prawa historyczne“, wyszczególniając, przez jakie formy urządzeń społecznych każdy naród przejść musi. Przyjmując taką konieczność naturalną, Breysig sądzi, że wynalazł „prawa historii“.

Ale dość rzucić okiem na ten długi szereg „praw wszechdziejowych“, aby się przekonać, że są urojone, bo poprostu nie jest prawdą, aby wszystkie społeczeństwa przebyć musiały taką właśnie kolej rozwoju urządzeń społecznych, jaką przepisuje im Breysig. Posłuchajmy go. „Pierwsze prawo: z zarodzi form obcowan płciowych, jako to: z małżeństw grupowych i mieszanych, lub tym podobnych musi się rozwinąć odrębność rodzinna, to jest rodzina, składająca się z małżonka, jednej lub więcej żon i ich potomstwa“. Gdyby tak w istocie było, tobyśmy ani pojęcia nie mieli o innych formach stosunków płciowych i rodzin, aniżeli nasze: bo te jużby wszędzie zapanowały. Tymczasem wiemy, że i dziś,

<sup>1)</sup> Kurt Breysig. Der Stufenbau und die Gesetze der Weltgeschichte. Berlin, 1905.

<sup>2)</sup> Karl Lamprecht. Moderne Geschichtswissenschaft. 1905.

<sup>3)</sup> Ludo Moritz Hartmann. Über historische Entwicklung. Sechs Vorträge zur Einleitung in eine historische Soziologie, 1905.

<sup>4)</sup> Volkstum und Weltmacht in der Geschichte, 1904.

jeszcze u różnych ludów nasze formy rodziny nie są znane. Na taki zarzut Breysig przygotował dobrą odpowiedź, czy wymówkę: Powiada, że ów konieczny, prawidłowy rozwój nie wszędzie postępuje w równym tempie, ale u jednych narodów—prędzej, u innych powolniej. Jeżeli np. Hottentoci nie znają jeszcze naszych form rodziny, to nie osłabia to prawidłowości rozwoju, jeno stanowi dowód, że u nich prawidłowość ta postępuje nieco powolniej. „Tylko trochę cierpliwości!“—powiada Breysig—„a Hottentoci muszą dojść do modernizmu“.

Drugie prawo Breysiga brzmi: „Z odrębnej rodziny muszą z postępem generacyi i w miarę tworzenia się pokrewieństw powstać rodziny, wielkie rody i szczepy“. Gdzież tu jest konieczność? Wszak rodzina odrębna może wymrzeć, lub wyginąć. Co najwyżej można by tu powiedzieć, że rozrastająca się rodzina rozrasta się, a gdy wymrze, to jej niema. Ale gdzież tu jest „prawo wszechdziejowe“?

Zresztą twierdzenie, że stosunki rodzinne muszą się rozwijać w pewnym stałym kierunku, nie jest prawdziwe, albowiem nawet na tym samym stopniu kultury formy małżeństwa i rodziny mogą być najrozmaitsze. Czy dzisiaj w Europie u narodów cywilizowanych nie widzimy pod tym względem jaknajwiększej różności? Wszak w samej Austrii po tej i tamtej stronie Litawy panuje co do prawnych form małżeństw wielka różnica: Na Węgrzech małżonkowie mogą się rozłączyć i każde ponownie zawrzeć śluby, w Austrii można za to dostać się do kryminału.

A cóż dopiero, gdy się rozpatrzymy po szerokim świecie: jakież tam różne formy stosunków małżeńskich i rodzinnych! Polygamia, polyandria, wolne obcowanie — słowem nie widać, żeby się ludy trzymały prawa Breysiga; rozwijają się raczej — bezprawnie, choć wedle swoich rodzimych praw i zwyczajów <sup>1)</sup>.

Idźmy dalej; trzecie prawo Breysiga brzmi: „Z półpolitycznej wspólności, opartej na węzłach krwi, musi, po upływie pewnego czasu i przebiegu rozwojowego, powstać prawdziwy, jakkolwiek jeszcze luźny, ustrój państwowy, a to w ten sposób, że dwie lub więcej społeczności pokrewne łączą się w ustrój państwowy nie po-

<sup>1)</sup> Na 2-gim międzynarodowym kongresie socyologów (1896) Rossyanin Abrikosow twierdził: „il est certain, que la promiscuité existe actuellement et qu'elle est largement répandue, même dans les pays civilisés“. Nie wiem ile w tem prawdy; doświadczenia moje nie sięgają tak daleko. Uderza mnie jednak fakt, że wydana na początku XX w. w Berlinie broszura „Ehe und freie Liebe“ von Dr Ladislaus Gumpłowicz, doczekała się w krótkim czasie trzeciego ozdobnego wydania z ilustracją słynnej rysowniczkii berlińskiej, Käthe Kollwitz, na okładce!

legający już na pokrewieństwie i przyjmują pewną konstytucję“. Gdzież to Breysig w początkach państw widział takie dobrowolne łączenie się i przyjmowanie pewnych konstytucji? A jeżeli by nawet tu i owdzie coś podobnego widział, to czy ztąd wynika, że to jest „prawo wszechdziejowe“? Na takiej to dowolności polegają wszystkie jego „prawa.“ Bierze on jakiś fakt półurojony, półprawdziwy i ogłasza go, jako „prawo wszechdziejowe“.

Niektóre z tych jego praw sprzeciwiają się nawet wszelkim doświadczeniom dziejowym, np. prawo jedenaste: „Wskutek wytworzenia się silnej władzy monarchicznej musi ze stanu prawie zupełnej bezklasowości powstać szlachta“... Gdzież to mamy przykład, aby ze stanu bezklasowości powstała szlachta wskutek silnej władzy monarchicznej? Przeciwnie—tam gdzie wskutek podboju istnieje szlachta, tam powstaje monarchia; zawsze w pierw istnieje klasa szlachty, a z niej dopiero *primus inter pares* zostaje królem. Tak było wszędzie. Że szlachta powstaje wśród społeczeństw bezklasowych to jest piękna bajka, którą wprawdzie znajdujemy często u historyków, ale u Lamprechtowskich—„mytotwórczych“.

Czy zachodzi jeszcze potrzeba wypowiedzenia sądu o Breysigowskich „prawach“? Zaiste! jeżeli dopiero przez „odkrycie“ takich praw dziejopisarstwo ma być podniesione do wyżyn „nauki“, to lepiej zostawić je w sferze „sztuki“. Bo każdy historyk będzie chyba wolał być artystą, równym poecie, malarzowi, rzeźbiarzowi, aniżeli badaczem „naukowym“ z łaski „praw“ Breysigowskich. Dodam tylko, że owe 24 prawa Breysiga czyta się tak, jak spis rzeczy, zawartych w jakiejś historii kultury, lub socyologii.

Streszczają one bowiem przejścia i dzieje, które często się zdarzały, ale które bynajmniej nie „musiały“ zawsze i wszędzie się zdarzać, ani nie muszą się zawsze i wszędzie powtarzać. Breysig nie zdawał sobie nawet dokładnie sprawy z tego, co to jest „prawo przyrodnicze“, czy też nawet prawo socyalne, takie, jak je formułuje socyologia.

Takie prawa zawsze i wszędzie rządzą stosunkami społecznymi bez wyjątku; działają jak prawa przyrody. Jeżeli np. socyologia powiada, że między dwiema klasami społecznymi zachodzi zawsze stosunek walki o interes, że każda broni swego interesu przeciw drugiej i kosztem drugiej, to to jest prawo takie, jak np., że rtęć w cieple się rozszerza, a w zimnie się kurczy. Ale ów „spis rzeczy“, jaki nam przedstawia Breysig, to nie są żadne prawa, to są fantazyje na tle rozwoju społecznego, tu i owdzie sprawdzonego częściowo.

Zdaje się wszelako, że już taki dziś prąd zapanował w Niemczech; co do fantazyi bowiem, Breysiga prześcignął Lamprecht.

Wiemy już, że nie wypiera się on „mytotwórczości” dziejopisarstwa. Ma on wprawdzie tę wielką zasługę, że w polemice, skierowanej przeciw historykom starej szkoły: *Belowowi*, *Hintzemu*, i innym<sup>1)</sup> bronił prawidłowości rozwoju dziejowego i występował przeciw indywidualistycznemu, a właściwie heroistycznemu dziejopisarstwu, ale w wykazaniu tej prawidłowości Lamprecht szczęśliwym nie był. We wspomnianym już, najnowszym dziełku, (*Moderne Geschichtswissenschaft*) zestawia on wyczerpująco wszystkie swoje dawniej, przy różnych okazjach wypowiedziane poglądy i formuluje dokładnie cały swój program historyozoficzny. Zważywszy, że Lamprecht jest autorem wielotomowych, bardzo uczonych dzieł o historii Niemiec, które w licznych wydaniach wychodzą, że zatem jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli dzisiejszego dziejopisarstwa niemieckiego, ta programowa jego publikacja zasługuje w każdym razie na baczną uwagę.

Lamprecht obstaje stanowczo przy prawidłowości rozwoju dziejowego i podejmuje się wykazania nam jej. Jako przykład, *paradygma*, bierze on w tym celu „Germanów,” aby na tym „narodzie” twierdzenie swoje udowodnić. Ale w jaki sposób przeprowadza on ten dowód? Oto wychodzi z założenia, że wszelkie „działania” dziejowe „narodu” są objawami jego usposobienia psychicznego. Bo „naród”—to zbiorowy człowiek, „zbiorowe indywiduum”. Podobnie więc, jak działanie osobnika jest wyrazem jego stanu psychicznego, tak samo ma się rzecz i z narodem, t. j. z „indywiduum zbiorowym”. Lamprecht używa stale terminów „indywiduum socyalno-psychiczne,” „dusza socyalna” (*soziale Seele*) i t. p.

Ponieważ zaś, powiada on, psychologowie indywiduów odkryli prawo rozwoju duszy indywidualnej, więc to samo musi się stosować i do „duszy socyalnej,” a zatem działania dziejowe narodu odpowiadają rozwojowi prawidłowemu jego duszy socyalnej; podlegają przeto prawom, rządzącym tym rozwojem psychicznym.

Zostawmy sobie krytykę tego zapatrywania na później, a przyjrzyjmy się najpierw, jakie Lamprecht wskazuje nam prawidłowe przejścia i fazy rozwoju tej „duszy socyalnej Germanów” i jakie wskutek tego przyjmuje okresy „dziejów niemieckich”?

„W ostatnich wiekach przed Chrystusem i w pierwszych wiekach po Chrystusie znajdujemy Germanów, w większej części niewątpliwie przodków naszych, w stanie psychicznym, który nam, dzisiejszym, trochę się dziwnym wydaje. Ich fantazyja, siłą try-

<sup>1)</sup> Porównaj: *Die historische Methode des Herrn von Below. Eine Kritik von Karl Lamprecht, 1899* i tegoż: *Die kulturhistorische Methode, 1900.*



skająca... jest w najwyższym stopniu czynna... Cała ich kultura, życie umysłowe były symboliczne. Symbolizm więc jest znamieniem tego pierwszego peryodu (dziejów niemieckich).“ Objawów tego symbolizmu dopatruje się Lamprecht w symbolice prawnej i w „ornamentyce wstęgowej“ (Bandornamentik), jaką zapewne na wykopaliskach gdzieś spostrzegł.

„We dwa, lub trzy wieki po Tacycie, pisze dalej Lamprecht, ów (symboliczny) świat germański wprowadzony został w ruch nie tylko zewnętrzny, ale także i psychiczny. W pięć do sześciu wieków później znajdujemy go w wybitnie nowym nastroju psychicznym, który trwa aż do XI wieku, a który od dawniejszego całkowicie i rdzennie się różni.

„Na miejsce dawnej czynności fantazyjnej występuje inna, zaczęwszy od wędrówek ludów i kwitnie aż do wieku XI-go, objawiając się w eposie i w ornamentyce typowej.“

Jest to drugi według Lamprechta okres dziejów niemieckich, „peryod typizmu“, albowiem „Germanin, stając się Niemcem, był typem, który poznał zewnętrzny charakter swój typowo-niemiecki“) „...Po okresie symbolizmu nastął okres nowy... osobnik wyzwala się z pod opieki rodziny, rodu, staje się wolniejszym“, zarówno „w życiu gospodarczym, jakoteż i w stosunku do państwa“.

W tym okresie drugim powstał feudalizm, „państwo typowego ujętego pojęcia wierności“ (das Staatswesen eines typisch gebundenen Treubegriffes).

Ale już w wieku XI i XII nastaje „ogromna przemiana społeczna“; „powstała szlachta wielkorolna, która się wybiła ponad masę przeciętnej własności średniej... rozwinęła się własność dziedziczna i poddaństwo“ (Grundherrschaft und Hörigkeit).

Jest to okres trzeci, nazwany przez Lamprechta konwencyonalnym. Dlaczego? „Na miniaturach występują rycerze i damy w nadobnej, konwencyonalnej postawie owego czasu.“ „Jest to czas nowy, tysiące znamion zwiastuje go; rycerstwo i mieszczaństwo oddalają się duchowo i psychicznie od dawnego wieku typizmu... Jakże konwencyonalna jest teraz czynność fantazyji! Nie zna ona jeszcze portretu ożywionego indywidualnie; nawet portret literacki życiorysu, czy autobiografii, jest jeszcze nieznanym.“

Ale już w przeciągu XV w. nastaje „okres (czwarty) — indywidualizmu.“ W rozwoju myśli zjawia się nowa faza.

1) „... der Germane, erst zum Deutschen werdend, war ein Typ, der seinen äussern nationalen Charakter, sein typisch-deutsches Wesen erkannte...“

Dawniejsze wnioskowanie analogiczne nie zadawałoby już. Wzrastająca liczba doświadczeń wymaga większej ilości przedmiotów w celu porównania; z dawnej analogii wyrasta wniosek indukcyjny, a logiczna przyczynowość naciera ostro na wiarę w cuda.“ Jeszcze wprawdzie na stosach palą czarownice, „ale przyrodoznawstwo wysiła się coraz więcej przeciw wierze w cuda.“ Racyonalizm tryumfuje — „osobnik, odłączony od reszty świata, stanowi dla siebie świat odrębny — mikrokosmos.“ Ów okres czwarty trwa aż do połowy XVIII w. Wtedy różne wypadki powodują przejście z okresu indywidualizmu do piątego: „peryodu subiektywizmu“. Okres ten trwa do dziś dnia, wszakowo pierwsza jego część kończy się w r. 1870, a od tego roku rozpoczyna się druga.

Znamiennymi cechami tego „peryodu“ są: dramat psychologiczny, odkrycie duszy ludowej (Volksseele) i pierwsze początki badań socjalno-psychicznych; do znamiennych objawów tegoż peryodu zalicza dalej Lamprecht: klasycyzm Szyllera i Götthego, romantyzm, oraz zjednoczenie Niemiec. „Znaleziono się nareszcie; nowe życie subiektywizmu przeszło z okresu psychicznej dysocjacji w dobę skupienia, rozwagi, syntezy.“

Podzieliwszy tak przebieg dziejów niemieckich na pięć okresów: symbolizmu, typizmu, konwencyonalizmu, indywidualizmu i subiektywizmu, zastanawia się Lamprecht nad „mechaniką psychiczną czasów przejściowych“ (z jednego okresu do następnego).

Doszedłszy do chwili obecnej, kreśli ją bardzo pesymistycznie. „Już przez to samo, że pamięć nie może ogarnąć niezliczonych wrażeń... nastaje ogólna nerwowość... muzyka zagłuszająca, gwar i hałas uliczny niepokodzonych dyssonansów ruchu, administracyjne posiedzenia, pełne wyrafinowanych intryg; wszędzie współubieganie się i polityka przemocy, a w końcu hipertrofia używania.“ W ostatnim jednak pięcioleciu (a zatem od r. 1900) następuje znowu zwrot ku nowej „dominancie,“ „zaczyna się nowy styl w sztuce i nowy idealizm poetyczny.“

W taki sam sposób, w jaki wyżej podzielił rozwój dziejów niemieckich, Lamprecht żąda traktowania i dziejów powszechnych, przez co dziejopisarstwo ma zostać „nauką.“ Nowość na tem będzie polegała, że zasady podziału na „peryody“ nie weźmie się z życia społecznego, gospodarczego i konstytucyjnego, ale „ze sfery najwyższych funkcji umysłowych,“ t. j. z dziedziny sztuki. „Bo nie wedle rodzaju korzeni, ale wedle objawów kwitnienia trzeba klasyfikować okresy kultury“.

Sądzę, że dałem czytelnikowi wyobrażenie o sposobie, w jaki Lamprecht chce zreformować dziejopisarstwo i podnieść je do wyżyn nauki. Przytem jednak sam powtarza ciągle, że historyk musi być artystą i że historia musi być dziełem sztuki.

W istocie dziejopisarstwo Lamprechta nie jest ani nauką, ani sztuką, lecz filozofią spekulatywną w rodzaju filozofii Hegla. To wszystko, co nam opowiada o psychicznych nastrojach wieków, nie są to prawdy realne, jeno subiektywne widzenia. Jeżeli nam np. Lamprecht mówi, że wieki od XII do XV stanowią okres konwencyonalizmu, to zaprawdę nie wiemy, dla czego mu się podobało właśnie te wieki tak nazwać. Czyż dzisiaj nie panuje większy konwencyonalizm? Albo weźmy jego okresy indywidualizmu i subiektywizmu: jakżeż łatwo byłoby odwrócić ich kolej i nazwać wieki między XV, a XVIII okresem subiektywizmu, a terażniejszość indywidualizmem. Nie trzeba by nawet wiele sprytu, ani dowcipu, aby w taki sam sposób, jak Lamprecht, odwróciwszy całą kolej jego „peryodów“, udowodnić—jak on sam—że Germanowie przed Chrystusem byli indywidualistami, a dziś są symbolistami. Bo te dowody nie mają żadnej realnej podstawy i opierają się tylko na subiektywnej fantazyi. Fantazyę i spryt musimy Lamprechtowi przyznać, ale, żeby był odkrył, jak mu się zdaje, „psychologiczne prawa rozwoju dziejów“ tego mu przyznać nie możemy, abstrahując już od tego, że prawa psychologiczne nie są i nie mogą nigdy być prawami historii. Wszak przedmiotem historii są społeczeństwa, a nie dusze indywidualne, a tem mniej zbiorowe, których istnienie trzeba by dopiero udowodnić. Jeżeli zaś można mówić o zbiorowych duszach, to one nigdy nie są duszami narodów, tylko chyba poszczególnych grup społecznych. Bo, dajmy na to, w chwili walki Franków z Sasami za Karola Wielkiego!... Gdzież była ta dusza germańska, kiedy Karol W. jednego dnia kazał ściąć 5000 Sasów? Czy ta dusza była u Franków, czy u Sasów? Wspólnej chyba duszy wtedy nie mieli...

Lamprecht jest filozofem spekulatywnym, a kto ma zamiłowanie w takich spekulacjach, ten czytając Lamprechta zawsze uczuwać może pewne emocje duchowe. Żeby jednak Lamprecht miał być twórcą nowej nauki historycznej, jakiejś „Moderne Geschichtswissenschaft“, w to trudno uwierzyć. Panuje wprawdzie w Niemczech dzisiaj (zaczawszy od r. 1870) pewien nastrój fantastyczny, który Lamprechtowi, zjednywa dużo zwolenników, ale nie brak też, zwłaszcza po za granicami Prus, umysłów trzeźwych, które czują wprawdzie także potrzebę zreformowania dziejopisarstwa, ale szukają w tym celu podstaw solidniejszych a nie — fantasmagoryi „psychologicz-

nych.“ Do tych umysłów zaliczamy *L. M. Hartmanna*, którego publikacya, jak wnet zobaczymy, z powodzeniem współzawodniczy z Breysigem i Lamprechtem.

Hartmann jest zawodowym historykiem, autorem bardzo cennej historyi Włoch średniowiecznych. Nie zasklepił się on jednak w ciasnym kole wiedzy historycznej; chciałby zdać sobie sprawę ze znaczenia dziejów i ze stanowiska historyi we wszechsystemie wiedzy ludzkiej. Poznawszy dzieła przyrodników (Darwina i Macha) i ekonomistów (Marxa i Büchera) a nawet skrajnych socjalistów (Krapotkina, Henryka Ferri'ego), zadaje sobie pytanie, jaką wartość ma wiedza historyczna wpośród różnych gałęzi wiedzy ludzkiej i jakie stanowisko winien zająć historyk wobec prądów rewolucyjnych, projektów przeobrażenia społeczeństwa i przepowiedni przewrotu społecznego?

Pozbył się Hartmann niektórych „przesądów“, będących dotąd kamieniem węgielnym wszelkiego dziejopisarstwa np. „przesądu psychologicznego“ o wolnej woli człowieka.

„Zamiast wolnej woli, kształtującej dzieje“, chce on dojść „do poznania związku wszystkich zjawisk“ w naturze i w dziejach. Słowem, chce poznać miejsce, jakie się należy dziejom ludzkim w całości kształcie natury i dotrzeć do praw naturalnych, rządzących temi dziejami. W tym celu stara się zorientować najprzód w całości otaczającej nas natury; za przewodnika bierze sobie przyrodnika-filozofa Macha. Ten (z zawodu fizyk) uczy go, że dwojakie w naturze odbywają się procesy: fizykalne i biologiczne. Innych być nie może ze stanowiska dzisiejszego przyrodoznawstwa, bo widzi ono w naturze tylko rzeczy nieorganiczne i organiczne. „Tertium non datur“, powiada przyrodnik. Jeżeli więc niema w naturze trzeciego rodzaju przedmiotów, to i trzeciego rodzaju procesów niema także. Tak powiada Mach a Hartmann w to uwierzył. Wobec tej wyłącznej dwoistości zjawisk i procesów, Hartmann nie może się wahać pod którą rubrykę podciągnąć proces dziejowy: Jest to proces biologiczny. A zatem jedno tylko stawia sobie pytanie: „W jaki sposób ze stanowiska rozwoju biologicznego mogą być uporządkowane zjawiska historyczne?“ Stojąc raz na gruncie biologicznym, szuka on w procesie dziejowym przede wszystkim tych objawów, jakie znamionują życie ustrojów a więc: walki o byt, przystosowania się do środowisk, nakoniec selekcji. Kto szuka, ten znajduje! Znaleźć walkę o byt w procesie dziejowym, to pono nie trudno. Ale, że ten przegląd walk o byt Hartmann zaczyna od walki człowieka z bakteriami, jest to już rzecz zbyt biologiczna, a pewnie

mniej historyczna. Mówi następnie o „walce o byt indywidualów i odmian tego samego gatunku“; w końcu o walce człowieka z przyrodą. Ta ostatnia walka stanowi istotę pracy i jest przedmiotem historii gospodarstwa społecznego; walka zaś ludzi pomiędzy sobą jest polityką, będącą przedmiotem historii politycznej“. Trzeba przyznać, że Hartmann w określeniach powyższych zbliżył się znacznie do prawdy, ale ściśle jej nie określił. Bo nie każda „walka między ludźmi“ jest polityką, a walki osobiste (przez intrygi, podstępny, konkurencje i t. p.) są przedmiotem plotek i komerażów, a nie historii politycznej.

Przedmiotem tej ostatniej są raczej walki grup społecznych, które stanowią istotę procesu socyalnego. I oto dotarliśmy do zasadniczego błędu, jaki i Hartmann popełnia. Podobnie jak Lamprecht, idąc za psychologiem *Lippsem* (sam to wyznaje), widzi w przebiegu dziejów proces psychologiczny, tak znowu Hartmann, przyjmując, według Macha, istnienie dwóch tylko procesów w naturze: fizykalnego i biologicznego, zalicza przebieg dziejów do procesów biologicznych.

I w jednym i w drugim wypadku historycy niekrytycznie przyjęli teorie przyrodnicze i psychologiczne, zamiast zbadać naturę zjawisk swojej własnej dziedziny. Natura zaś zjawisk na polu historii nie jest ani biologiczna, ani psychologiczna, jeno socyologiczna, a historycy, chcąc poznać prawa, rządzące rozwojem dziejów, nie powinni się radzić ani fizyków, ani psychologów, lecz socyologów. Pod tym względem *Paweł Barth* ma poniekąd rację traktując w dziele swoim „Die Philosophie der Geschichte, als Soziologie“ (1897) socyologię, jako filozofię historii.

Rzecz zresztą prosta, że przyrodnicy, mający tylko do czynienia z ustrojami, albo z naturą martwą w badaniach swoich, poza te dwie sfery nie wychodzą. Przyrodnikowi wystarcza zupełnie podział zjawisk natury na przedmioty nieorganiczne i ustroje; nie zna on też innych procesów, jak tylko fizykalne i biologiczne. Psycholog zaś, badający duszę jednostek, sądzi że ona jest źródłem wszelkich czynów ludzkich, choć w ostatnim czasie nawet i psychologowie zaczęli zastanawiać się nad psychologią tłumów i nad suggestyą, wywieraną przez grupy socyalne na jednostki. Wszelako o procesach socyalnych, jako samoistnych procesach naturalnych, dotąd ani przyrodnicy, ani psychologowie należytego pojęcia nie mają. Tymczasem socyologia wykazała istnienie zjawisk socyalnych, samoistnych, jakoteż procesów socyalnych, które nie są ani fizykalnymi, ani bio-

logicznymi, ani psychologicznymi<sup>1)</sup>). Gdyby się Hartmann był nad tem zastanowił, dalby pokój procesom biologicznym, które nie są bynajmniej terenem historyi i nie mieszalby procesów biologicznych z socyologicznymi. Walka np. człowieka z naturą może należeć do zakresu biologii, nawet walka jednostek wzajemna, ale nie są to procesy socyalne i do historyi nie należą.

Nie obwiniam Hartmann'a, że zupełnie zaniedbał socyologię; żąda on od historyi, aby badała „formy organizacyi i grup społecznych“, podnosi nawet (na str. 33) na zasadzie socyologii, że „człowiek żyje i walczy nie jako jednostka, ale w grupach“ i t. p.; z tem wszystkim jednak nie trafił on w sedno rzeczy, a to dlatego, że za punkt wyjścia wziął biologię. Powinien był biologię pozostawić biologom, a chcąc sobie zdać sprawę z treści i sensu historyi, winien był to uczynić ze stanowiska czystej socyologii. Byłby się wtedy uchronił od licznych błędów, popełnionych wskutek mieszania poglądów biologicznych z poglądami na dzieje ludzkie.

Mieszanie to daje się uczuć także w jego wnioskach co do ostatecznych rezultatów rozwoju historycznego. Wylicza on tu: wzrastające uspołecznienie, postęp produktyjności i coraz dalej idące różniczkowanie się indywiduów. Z tych trzech— niby to rezultatów rozwoju dziejów—rzeczą oczywistą, że trzeci i ostatni jest wzięty z doświadczeń biologicznych, a związek jego z dziejami nie jest jasny. Że ludzie się różniczkują pod względem usposobień i charakterów, może to być rezultatem postępu kultury, ale to nie zmienia procesu socyalnego. Owszem, w wojnach nowożytnych np. odrębności indywidualne żołnierzy daleko mniej ważą na szali zdarzeń, aniżeli w wiekach średnich. Jeżeli wogóle jest prawdą, że dzisiaj ludzie więcej są zróżniczkowani, jeżeli to nie jest przywidzeniem (udowodnione to nie jest!), to moment ten nie ma wpływu na procesy socyalne, bo w procesach tych nie ważą osobniki, lecz masy i grupy. W tych zaś osobniki mają wagę podrzędną.

Co do „wzrastającej produktyjności“ pracy, to i ten rezultat rozwoju dziejów jest bardzo problematyczny. Co to ma znaczyć? Praca ludzka wydajności swej nie zmieniła. Biorąc dzisiaj w pomoc maszyny, potrafi więcej przedmiotów produkować—to prawda. Ale o ileż to wpływa na proces dziejowy? Że wojny są krwawsze, bo używamy sztuczniejszej broni?... Nie zmienia to ani istoty, ani charakteru procesu socyalnego. Że np. w ogromnych fabrykach, poruszanych parą, produkują dziś ogromne ilości sztucznych kwiatów

<sup>1)</sup> Porówn. drugie wydanie niemieckie mojej Socyologii: Grundriss der Soziologie, zweite vermehrte Auflage. Wien 1905, str. 97.

do kapeluszy damskich, stanowi to w danym kierunku większą wydajność pracy, ale z procesem socyalnym nie ma nic do czynienia. Z drugiej strony bez maszyn i narzędzi sztucznych w wiekach pierwotnych ludzie dokonywali cudów pracy, o czym świadczą kanalizacje Babilonu, piramidy Egiptu i t. d. Nie ma kwestyi, że proces socyalny odczuwa większą dzisiaj wydajność pracy, ale istoty swej nie zmienia z tego powodu. Wszelka zaś filozofia historii, czy też „naukowe dziejopisarstwo“ powinnyby nam przedewszystkiem powiedzieć coś o istocie, o treści ideowej czyli—poprostu o sensie dziejów ludzkich. Pod tym względem najbliższy prawdy zdaje się być wniosek Hartmanna o „wzrastającym uspołecznieniu“, jako o treści i rezultacie dziejów. Ale i tutaj nie poznał on całej prawdy. Gdyby w istocie „wzrastające uspołecznienie“ było treścią dziejów ludzkich, to chyba dziś, po milionach lat istnienia ludzi na świecie, po conajmniej 10,000 lat znanych czasów historycznych, jedna bodaj część świata, bodaj najmniejsza, Europa, byłaby już jednym społeczeństwem, byłaby „uspołeczniiona“. Tymczasem nie potrzebuję chyba przytaczać przykładów, jak dalecy jesteśmy od tego celu? Że już pominę wojny międzynarodowe, jak r. 1870 francuzko-pruską, to wojna 1866 r. między Bawarczykami a Prusakami, nie świetnym jest chyba dowodem „wzrastającego uspołecznienia“, jako treści i rezultatu dziejów, ani też krew, która bezustannie się leje na półwyspie bałkańskim między „bracią Słowianami“ (i nie tylko tam) nie świetne dziejom, jako „wzrastającemu uspołecznieniu“ wystawia świadectwo. Więc oczywista, w tym filozoficznym rachunku Hartmanna jest jakiś błąd gruby. Moim zdaniem błąd leży w tem, że treścią dziejów nie jest żadne wypełnienie—niby z góry nakreślonego zadania,—ale tylko proces naturalny, socyologiczny, który jest zawsze ten sam i odbywa się wiecznie co do istoty swej identycznie tak samo, jak się inne procesy naturalne (fizykalne, biologiczne, psychologiczne) wiecznie, identycznie powtarzają i odnawiają.

Wobec tego, zdaniem moim, fałszywe zupełnie stawiają sobie pytanie filozofowie: „jaki sens mają dzieje, jaką myśl i jaki ich rezultat?“ Czy astronom potrafi odpowiedzieć na pytanie, jaki sens ma wieczne kręcenie się kuli ziemskiej wokoło słońca? Czy biolog potrafi odpowiedzieć na pytanie, jaki sens ma wieczne rodzenie się i zamieranie istot organicznych? Nie stawiają oni też sobie tak niedorzecznych pytań i zadawalniają się poprostu poznawaniem procesów fizykalnych i biologicznych. Dla czegożby z dziejami ludzkiemi rzecz miała się inaczej? Jaki sens mają dzieje ludzkie, jakiej myśli służą, jakie zadanie spełniają, do jakich celów dążą — na to człowiek

odpowiedzieć nie może. Umysł jego, conajwyżej, może poznać istotę procesu dziejowego, t. j. procesu socyologicznego, którego przebieg stanowi treść dziejów. To poznanie zaś jest zadaniem socyologii.

Skoro mówię o tym przebiegu, to zaraz przestrzedz muszę czytelnika przed błędem filozofów historyi, czy też historyków-filozofów, którzy przebieg ten chcą ująć w jakieś ramy początku, rozwoju i szczytu, chcą przebiegowi temu narzucić jakąś peryodyczność, w którejby miała się przebijać dążność do celu, jakiś kierunek z góry naznaczony i w której miałyby się ujawnić pewna prawidłowość. Wszelka taka prawidłowość rzekoma, mająca się ujawniać bądź w następujących po sobie stałych okresach rozwoju, bądź też w ciągłości jednego kierunku (np. uspołecznienia), jest urojeniem. To, co się stwierdzić jedynie da, to—proces socyologiczny, wiecznie i wszędzie między społeczeństwami i grupami socyalnymi się powtarzający i odnawiający. W procesie tym socyologia wykazuje pewne, rządzące nim prawa. Te prawa jednak socyologiczne nie odnoszą się ani do wszechdziejów, jako całości, ani do historyi poszczególnych narodów, jako „osobników socyalnych“, jak to twierdzi Lamprecht, upatrując w nich jakieś „indywidua zbiorowe“, rozwijające się psychicznie na modłę jednostek ludzkich.

Dla tego, jak już wspomniałem, Paweł Barth widzi słusznie w socyologii właściwą filozofię historyi, a Hartmann o tyle trafia na właściwą drogę, o ile poszukiwania swoje nad myślą i treścią dziejów nazywa „wstępem do socyologii historycznej“. Powinien by był tylko jeszcze zastanowić się głębiej nad istotą i zadaniem socyologii, aby się uwolnić od ostatka przesądu teleologicznego, który tkwi w pojęciu jego o „wzrastającym uspołecznieniu“ jako o treści i o rezultacie dziejów.

O ile zaś drobne nawet uchybienia w zasadniczych zapatrywaniach mszczą się w dalszym ciągu rozumowania, lub w zastosowaniu tych zapatrywań w praktyce życia politycznego,—ujawnia się to u Hartmanna w kwestyi „wzrastającego uspołecznienia“ na tym punkcie, gdzie „uspołecznienie“ bierze on za podstawę oceny etycznej wypadków dziejowych.

Na samym bowiem końcu dziełka swego stawia sobie pytanie, jaką miarą mierzyć wartość etyczną osób i wypadków historycznych? jakie kryterium wziąć za podstawę sądów etycznych w dziejopisarstwie?

Na pytanie to Hartmann w ścisłej konsekwencji zapatrywań swoich nie może odpowiedzieć inaczej, jak tylko, że historyk „każdą akcyę historyczną sądzić winien wedle tego, czy przyczynia się ona do



uspołecznienia, czyli też ma tendencję przeciwną“. W pierwszym przypadku nazwie ją etycznie dodatnią, w drugim etycznie ujemną. Otoż nie trudno wykazać, że kryterium to, podane przez Hartmanna, jest zupełnie fałszywe. Bo proszę zważyć: Przez „uspołecznienie“ historyk musi rozumieć wszelkie zespolenie różnych społeczeństw w jedno, bodaj—w jedno państwo. A zatem wszelkie tworzenie państwa, obejmującego liczne społeczeństwa, oznaczałoby dla historyka postęp ku uspołecznieniu i byłoby przez to samo akcją etycznie dodatnią. Wszelkie zaś usiłowanie rozbicia takiego państwa oznaczałoby dla niego „tendencję przeciwną“, a zatem wartość etycznie ujemną. Założenie np. państwa tureckiego ocenilby on, jako akcję etycznie dodatnią, powstanie zaś greckie, dążące do wyodrębnienia Grecji z pod panowania tureckiego,—jako akcję o „tendencji przeciwniej“, a zatem etycznie ujemną. Jestem pewny, że i sam Hartmann nie zgodziłby się na tę logiczną konsekwencję swojej tezy. Błąd jej leży w przypuszczeniu ciągłości rozwoju dziejowego w jednym kierunku, gdy tymczasem proces dziejowy przebiega w ciągłych antytezach, w akcjach i reakcjach, w aglomeracjach i dyssołucjach, raz w tworzeniu państw uniwersalnych, to znowu w ustrojach drobnopaństwowych.

Jeżeli więc wogóle, wobec procesów naturalnych, odbywających się z koniecznością naturalną, a nie według wolnej woli ludzkiej — (Hartmann, jak sam powiada, pozbył się już tego „przesądu psychologicznego“),—można mówić o ocenach i o wydawaniu sądów etycznych, to zajmowanie przy tem stanowiska, jakie zaleca Hartmann, byłoby jednostronnością, krzywdzącą ludzi i działania, składające się np. na wyswobodzenie Grecji z pod panowania tureckiego. I w tym punkcie przeto filozofia Hartmanna nie dopisała.

Mimo to powtarzam, że Hartmann daleko wyżej stoi, aniżeli Breysig i Lamprecht, oraz, że wszedł on na drogę właściwą ku rozwiązaniu kwestyi „naukowości“ historii, t. j. na drogę socyologiczną. Jednakowoż rezultatów socyologii jeszcze należycie nie uwzględnił.

Nie mogę zakończyć niniejszego sprawozdania bez zwrócenia się raz jeszcze do tej kwestyi, która była dla historyków prawdziwą pobudką do podjęcia poszukiwań powyższych. Reasumujemy rzecz: Przyrodznawcy sformułowali pojęcie nauki; jej cechą miało być wynalezienie praw, rządzących właściwemi zjawiskami. Dziejopisarze praw takich nie wynaleźli, a zatem historia nie jest nauką. Tak rozumowali przyrodnicy i niektórzy filozofowie. Aby zarzut ten odeprzeć, niektórzy historycy podjęli się—pour l'honneur du drapeau,—wykazania praw, które rządzą przebiegiem dziejów. Starania—o ile podejmowane były przez historyków, nie zostały uwień-

czony pożądanym skutkiem. Właściwie jednak były one ze stanowiska historii zbyteczne. Bo historia, o ile nam przedstawia fakta historyczne i ich przebieg prawdziwy, jest podstawą niezbędną i podwaliną wszelkiej nauki o społeczeństwie ludzkim. Bez historii nie byłoby ani antropologii, ani etnologii, ani socjologii. Czy zaś zadaniem historii jest wynajdywanie „praw dziejów“, to wielkie pytanie. Wszak i na polu naukowym musi być jakiś racjonalny podział pracy. Przyjawszy go, — wynajdywanie „praw historii“ nie jest rzeczą historyografii. Powiedziałbym, że z tej poprostu przyczyny, iż tędzy historycy mają zazwyczaj wstręt do idei ogólnych, podczas kiedy filozofowie, mający skłonność i uzdolnienie do chwytania idei ogólnych, abstrahowania ich od faktów i podciągania tych ostatnich pod idee ogólne, mają znowu najczęściej wstręt do zajmowania się szczegółami historycznymi i nie mają zmysłu, ani zdolności wiązania faktów w obrazy historyczne. Oczywiście, nie mówię tutaj o umysłach fenomenalnych, o geniuszach i wyjątkach, ale o zwykłej różnaitości i różnolitości „charakterów umysłów ludzkich“. Zdawałoby się, że natura sama, tworząc tę różnaitość, postarała się o racjonalny podział pracy. Wszak i między historykami odróżniać musimy typy dwojakie: historyków-poetów i historyków-krytyków. Pierwsi kształtują postacie indywidualne i kreślą wypadki, oraz zdarzenia dramatycznie; drudzy są fanatykami prawdy, chodzi im o zbadanie szczegółów i wierne odtworzenie ich. Pierwsi są rodzajem artystów-malarzy, drudzy fotografami.

Ani pierwsi, ani drudzy nie mają pociągu do formułowania praw abstrakcyjnych i idei ogólnych. To było dotąd zawsze specjalnością filozofów, a dzisiaj stało się zadaniem socjologów.

Chcieć klasyfikować uczonych i pracowników umysłowych wedle jakichś rang, lub poziomów, nie ma sensu. Wszyscy razem pracują nad wzniesieniem gmachu nauki; każdy według swych zdolności wrodzonych i skłonności. Tu nie ma różnic rang: są tylko różnice specjalności, tkwiące w różnicach naturalnych „charakterów umysłów“, jak to słusznie nazywa Wiszniewski.

Dziejopisarstwo, owo niby „nienaukowe“, które nie troszczy się o „prawa historii“, jeno nam odtwarza przeszłość bądźto w obrazach więcej dramatycznych, bądź też w badaniach szczegółowych; owo dziejopisarstwo, które stawia sobie za zadanie wykazywanie nam, „jak się właściwie rzeczy miały“ i „jak się działo“, — dziejopisarstwo takie zawsze odpowiadać będzie umysłowej potrzebie ludzi poznawania własnej przeszłości. Szukanie zaś i wynajdywanie „praw historii“ odpowiada bardziej „interesowi transcendentalnemu“

(jak to nazywa *Ratzenhofler*), który nie zaspakaja się poznawaniem faktów, ale po nad nie dąży do poznania istoty rzeczy, sił działających w naturze i w życiu ludzkim, szuka przyczyn zjawisk i coraz wyższych uogólnień, aż nareszcie staje przed tajemniczą „prąsila”, przejawiającą się zarówno w naturze martwej, jak w świecie ustrojów i w przebiegu dziejów.

Ale nie trzeba nigdy zapominać, że coraz wyżej wznoszący się gmach nauki jest jednolity i że w nim nierozłącznie spojone są: znajomość rzeczywiście minionej i obecnej z dociekaniem ich przyczyn i dążeniem do poznania najwyższych praw, rządzących na równi całym światem. Wobec tej jednolitości wszechnauki, między pracownikami umysłowymi panować musi konieczny podział pracy, ale przytem w „rzeczypospolitej uczonych“ winno być miejsce na wszelkie rodzaje pracy, a zarazem na ich równouprawnienie i równą dostojność, oczywiście, o ile praca ta dąży w dobrej wierze do poznania prawdy.

LUDWIK GUMPLOWICZ.

---